James H. Schmitz

Podążając za Gwiazdą Złodziei

(Captives of the Thieve-Star)

Planet Stories, May 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novelette "Captives of the Thieve-Star" by James H. Schmitz, first publication in Planet Stories, May 1951, published by Project Gutenberg, January 02, 2021 [eBook #64198].
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Planet Stories May 1951. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed".
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Uroczystości ślubne Peer i Channoka musiały zostać przerwane odrobinę pośpiesznie, ponieważ w połowie odległości zasięgu detektorów pojawiło się stado łodzi policyjnych z Irrek. Tym niemniej, przebiegały one z prawdziwym rozmachem.

Bańka tlenu w małym kraterze księżycowym wypełniona została kolorowymi solidografami, tworząc wrażenie otwartej sali bankietowej. Najlepsze zespoły muzyczne Imperium, tego wieczoru nieświadomie połączyły swoje wysiłki, a jedzenie i picie były bez zarzutu.

Choć przez cały czas lekko oszołomiony, Channok poczuł zaskoczenie, gdy w pewnym momencie odkrył, że grube dywany, na których stał, były prawdziwymi bezcennymi tkaninami Gaifornaab – i nie były to solidografy! Osiemdziesiąt cztery małe statki plemienia szczurów kosmicznych – lub Podróżników, jak sami wyraźnie woleli aby ich nazywać – ustawione wzdłuż zewnętrznych krawędzi sali bankietowej, wyglądały dla niego niesamowicie nie na miejscu; ale Peer to nie przeszkadzało. Jej rodacy rzadko oddalali się od swoich statków, a bezprawne, niepewne życie jakie prowadzili, sprawiało, że była to praktyka nader zalecana.

Teraz już do niego będzie należało, pomyślał Channok, promiennie uśmiechając się do Peer, aby nauczyć ją obyczajów i postaw bardziej odpowiednich dla żony regularnego obywatela Imperium i prawdopodobnego przyszłego funkcjonariusza Imperial Secret Service…

I wtedy nagle wydało się, że cała ceremonia dobiegła końca! Nieco zdziwiony nagłością, z jaką wszyscy zaczęli zbierać manatki i wychodzić, Channok stał obok rampy swojego statku, *Asteroidy* – uczciwego, licencjonowanego pojazdu kupieckiego – kiedy Santis podszedł, aby z nim porozmawiać. Santis był ojcem Peer, niewysokim wodzem plemienia.

— Nie mówiłem ci tego wcześniej, synu — zauważył — ponieważ byłeś już wystarczająco poddenerwowany. Ale gdy tylko skończą wypuszczać powietrze z bańki, będziesz miał około sześciu minut na to, aby zabrać swoją *Asteroidę* w górę i zniknąć z tego księżyca, zanim przybędą gliniarze z Irrek!

— Słyszałam, tatku, i wszystko jest spakowane! — zawołała Peer z otwartej śluzy *Asteroidy*. — Chodź, pocałuj mnie na pożegnanie i zaraz zamykamy właz!

Marszcząc podejrzliwie brwi, Channok podążył za Santisem do góry po rampie.

— Dlaczego miałbym się przejmować glinami? — zapytał, spoglądając na dwójkę małych ludzi, którzy na krótko się objęli. Peer sięgała mu mniej więcej do ramienia, chociaż miała doskonale kształty, a Santis był nawet o cal lub dwa niższy. Członkowie plemienia nie mieli zbyt potężnych rozmiarów. — Nikt mnie nie poszukuje!

— Jeszcze nie, synu — przyznał Santis. W zamyśleniu podkręcił krzaczastego brązowego wąsa i zerknął na Peer.

— Jeśli będziesz przelatywać gdzieś w pobliżu Starego Bezimiennego, możesz schować tam ten specjalny ładunek, który dla mnie przewozisz — powiedział jej. — W okolicy podnóża Kopca. Za duży jak na statki, które tu były! Włóż do skrytki razem z nim płytę znacznikową, a podlecę i zabiorę go transportowcem tak gdzieś w ciągu najbliższych czterech miesięcy.

— Tak, tatku — powiedziała Peer.

— Czwarta Flota Podróżników spotka się na New Gyrnovaan następnej Terra-wiosny. Jeśli uda ci się do tego namówić tego wielkiego tumana, spróbuj się tam pojawić, córko!

— Będziemy tam — obiecała Peer.

Channok niecierpliwie odchrząknął. Nie, jeśli będzie w stanie coś na to poradzić, nie będą tam!

— Ci gliniarze szukają zaginionych klejnotów koronnych Irrek — podjął Santis, patrząc na niego. — Po tym, jak cię wybebeszą od dziobu do rufy, aby upewnić się, że ich nie ukrywasz, mogą się przeprosić. Ale też, mogą i nie.

— Święte satelity! — zawołał ogłuszony Channok. — Czy ty faktycznie…

— Nie ja, synu. Po prostu kieruję tego rodzaju rzeczami. Niektórzy z chłopców, wykonali swoją robotę. Idzie bańka tlenowa! Czy teraz się stąd ruszysz?

Ruszyli się, Channok choć raz bez słowa.

Jakieś dwa miesiące później stał w sterówce *Asteroidy*, obserwując bladą plamę przesuwającą się po ekranie na sterburcie.

— To nie może być jeden statek – jest ich tam co najmniej sto! — oznajmił po chwili, nieco zaskoczony. — Wygląda na to, że posłano w kosmos całą dardreańską flotę wojenną! Ciekawe, co się dzieje?

Peer odłożyła na biurko listę ładunków, którą właśnie sprawdzała, i podeszła, żeby spojrzeć w ekran.

— Hm! — powiedziała.

— To chyba nie może mieć nic wspólnego z nami, co? — spytał z nagłym niepokojącym przeczuciem. Nie znał dialektu używanego na Dardrei, więc większość negocjacji pozostawił jej.

Peer wzruszyła ramionami. Miała uroczy, niewinny wygląd dziesięcioletniego dziecka, ale to było u niej normalne. Przy pewnej okazji została wzięta za jego córkę, a czasami nawet on sam musiał sobie przypominać, że miała osiemnaście lat i była studentką Imperial Institute of Technology, kiedy ją tam po raz pierwszy spotkał – a potem nieświadomie stała się narzędziem Santisa w zdobyciu małej, ale ważnej części ściśle tajnych archiwów eksperymentalnych IIT! Od tamtej pory próbował przeciwdziałać wpływowi tego małego rozbójnika na Peer, ale nie był zbyt pewien swoich dotychczasowych sukcesów w tej dziedzinie.

— Naciągnęliśmy Gildię Kupców na sporo, na naszej aukcji! — przyznała.

— No cóż — Channok zmarszczył brwi, — trudno przypuszczać by wysyłali za nami flotę, z tego powodu.

— I oczywiście — dodała Peer — mamy ten wspaniały diadem księcia Dardrei. Zapomniałam o nim wspomnieć. Ale jest całkowicie legalny! Jakiś miejscowy złodziejaszek go sprzątnął i zdobyliśmy go w drodze handlu.

Channok skrzywił się. W rzeczy samej, paserstwo było na Dardrei całkowicie legalną działalnością biznesową. Ale ktoś, kto planował wstąpić do Imperial Secret Service, gdy tylko będzie w stanie zebrać pieniądze, na opłacenie przejścia przez Akademię, nie mógł sobie pozwolić na żadne plamy na przeszłości! W całym Imperium, Służba była znana w pieśniach i opowieściach jako jedyna grupa ludzi, którzy stali ponad podejrzeniami o jakiekolwiek zarzuty.

— Książę nie zorientuje się, że zniknął, przed upływem kolejnego tygodnia — pocieszyła go Peer. — W każdym razie wydaje mi się, że te statki zaczynają schodzić z naszego kursu!

Nastąpiło kilka sekund pełnej napięcia obserwacji.

— Zgadza się, schodzą — przyznał wtedy Channok. Otarł czoło. — Ale wolałabym, Peer, żebyś nie podchodziła w aż tak techniczny sposób do interpretacji lokalnych przepisów! Te bobaski naprawdę wyruszyły w kosmos. Ciekawe, kogo lub co ścigają?

Trzy dni później, gdy *Asteroida* zbliżyła się do obszaru czerwonego olbrzymiego słońca, Starego Bezimiennego, gdzie mieli schować dla Santisa jego ładunek – prawdopodobnie gorący ładunek; i pozbycie się go byłoby prawdziwą ulgą dla umysłu Channoka – wychwycili ślad zniszczonego statku kosmicznego *Ra-Dwanaście* i na jego pokładzie znaleźli część odpowiedzi na to pytanie.

II

— **W**ydawało mi się — zauważył Channok, obserwując *Ra-Dwanaście* przed nimi na ekranie — jakby jego silniki jeszcze przed chwilą były kompletnie powyłączane! Ale teraz z powrotem działają. Jak myślisz, załogantko Peer?

— Polećmy po prostu trochę za nim — zasugerowała Peer. — Widziałam statki zachowujące się w taki sposób, którym po prostu skończyła się energia. A ten nie odpowiada nawet na sygnały!

— Może tak być — zgodził się z nadzieją Channok — zwykła, uczciwa akcja ratunkowa! Mogłabyś jednak dalej popróbować z komunikatorami...

Jednak *Ra-Dwanaście* nadal ich ignorował, sunął w stronę odległego czerwonego blasku Układu Bezimiennego, jak ślepa, spragniona bestia podążająca za swym nosem do wodopoju. Po kilku chwilach wykonał serię drżących, zygzakowatych ruchów, zboczył bez celu z kursu, powrócił na

niego ponownie, na kilka ostatnich oparach niewidocznej energii, i wreszcie zdryfował w przestrzeń z najwyraźniej już martwymi silnikami.

Asteroida nadal podążała za nim w dyskretnej odległości niczym głodny sęp, obserwujący co się dzieje. Jeśli na pokładzie *Ra-Dwanaście* ktoś był, to chyba musiałby to być duch. Tylna śluza statku była szeroko otwarta, a na kadłubie widać było głębokie blizny i ślady niedawnej walki w kosmosie.

— Ale nie został tak naprawdę ciężko uszkodzony — zauważył Channok. — Jak myślisz, co mogło się stać z jego załogą?

Peer uśmiechnęła się nerwowym grymasem.

— Może na pokładzie pojawił się kosmiczny duch!

— Chyba nie wierzysz w te przerażające opowieści podróżników, co? — zapytał tolerancyjnie.

— Pewnie, że wierzę – i ty pewnego dnia też uwierzysz! — obiecała mu Peer. — Opowiem ci kilka absolutnie prawdziwych historii, tuż przed następnym okresem snu!

— Nie ma mowy — oświadczył stanowczo Channok. — Zostawiając na boku kosmiczne duchy, to pudło ma wręcz przerażający wygląd. Chyba jednak lepiej będzie jeśli pójdę i je sprawdzę, jak tylko zwolni na tyle, żebyśmy mogli się do niego dostać. A ty masz zostać na *Asteroidzie*, Peer.

— Nie ma mowy, żebym została! — odparła Peer z oburzeniem. I chociaż Channok dopytywał się, czy zapomniała, że to on był kapitanem *Asteroidy*, okazało się, że tym razem, musiał jej ustąpić.

— Dlatego że, Channy, mój najdroższy — oznajmiła Peer, a jej wielkie ciemne oczy zaczęły powoli napełniać się łzami — gdyby coś ci się tam stało i zostałabym zupełnie sama w kosmosie, po prostu bym umarła!

— Jedyne, co musiałabyś zrobić — powiedział ze skrępowaniem Channok — to skierować *Asteroidę* do Nowego Gyrnovaan i dobrze o tym wiesz. No dobrze… ale musisz obiecać, że będziesz się trzymała tuż koło mnie!

— Oczywiście — obiecała Peer, a jej łzy cudownie zniknęły. — Santis mawia, że w kosmosie żona zawsze powinna trzymać się blisko swojego męża, ponieważ to prawda, że może on władować ją w kłopoty, ale ani w połowie tak duże, jak !!****! !!**!! kłopoty w które ona pewnie władуje się, jeśli będzie błąkać się sama.

— Natomiast regulamin statku, punkt 66-B mówi — powiedział Channok z ponurą satysfakcją, — że członek załogi Peer powinna umyć usta mydłem, przed następnym okresem snu, z powodu kolejnego niekontrolowanego popadnięcia w obrzydliwe wulgaryzmy… i słucham, co powiedziałaś?

— To było pod nosem — odparła Peer, zwijając żagle — więc to się nie liczy!

Bez żadnych uwag na ten temat, oboje przypięli do swych uprzęży odrzutowych, kabury z bronią. Z bliskiej odległości – utrzymywanej na poziomie trzydziestu stóp od pierścieniowych zderzaków *Asteroidy*, za

pomocą zestawu kotew dokowych – stojąca otworem śluza *Ra-Dwanaście*, bardziej niż kiedykolwiek przypominała czarny wylot jaskini, w której coś się na nich mogło czaić.

Channok przeleciał jako pierwszy, wypuściwszy pojedynczą strugę odrzutu z swych silniczków, i wylądował nieco ciężej, niż zamierzał. Peer, wykonując polecenie, aby trzymać się tuż za nim, chwilę później wpadła w środek jego pleców. Szybko się rozplątali, pozbierali na nogi i zaczęli świecić reflektorami hełmów po śluzie ładunkowej *Ra-Dwanaście*.

Była praktycznie pusta. Tak samo jak wielki stojak, na którym znajdowała się pojedyncza duża szalupa ratunkowa statku. Dookoła porozrzucanych było parę narzędzi. Kopnęli je w zamyśleniu na bok, popatrzyli na siebie i ruszyli naprzód przez otwarty właz do ciemnego korytarza, świecąc światłami do przodu i na boki.

Znaleźli zamknięte drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do sekcji silnikowej *Ra-Dwanaście*, a następnie cztery kabiny, z których każda była używana przez dwóch ludzi. W kabinach panował znaczny bałagan, ale z tego, co można było stwierdzić po krótkim rozejrzeniu się, każdy z pasażerów miał czas aby spakować rzeczy, które mogłyby być potrzebne człowiekowi planującemu podróż łodzią ratunkową. A więc, cokolwiek się tu wydarzyło, prawdopodobnie nie było czymś zupełnie nieoczekiwanym.

Następna była mesa, w pełni posprzątana; z tyłu znajdowała się para zamkniętych drzwi, a także otwarte wejście do kuchni i magazynu żywności. Rozejrzeli się krótko po tym wszystkim i przeszli do sterówki.

Była znacznie większa niż ta na *Asteroidzie* i luksusowo wyposażona. Kabina pilota znajdowała się oddzielnie w małym, wydzielonym pomieszczeniu z przezroczystymi ścianami. Na przyrządach znajdowały się oznaczenia i instrukcje, zarówno dardreańskie, jak i imperialne. Channok najpierw wyłączył martwe silniki, a potem, zupełnie automatycznie, sięgnął do miejsca nad pulpitem sterowniczym, gdzie powinien znajdować się przycisk włączający światło…

Wnętrze *Ra-Dwanaście* natychmiast zalał blask lamp. Intruzi podskoczyli na wysokość stopy. Wyglądało to tak, jakby statek wokół nich nagle obudził się do życia! Potem popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

— Tak odruchowo — westchnął Channok.

— Niech będzie, przynajmniej możemy sobie trochę ułatwić pracę — przyznała Peer. Wsunęła z powrotem do kabury Igłowiec Ophto, który do połowy wciągnęła.

***R**a-Dwanaście* wciąż miał osiemnaście w pełni naładowanych, kompletnie nietkniętych, akumulatorów napędowych. Gdyby działał jakiś system automatycznego transferu mocy, mógłby jeszcze przez wiele miesięcy podążać swoim kursem, z prędkością przelotową. Jednakże statek nie leciał z prędkością przelotową, jak to później odkrył Channok; regulatory szybkości ustawione były na „Pełna awaryjna”… Pusty statek pędził przez kosmos dopóki bateria, na której pracował, nie wyczerpała się…

Pokręcił głową. W tej samej chwili Peer poklepała go po ramieniu.

— Zobacz, co znalazłam! Myślę, że to dziennik okrętowy!

Było to płaskie stalowe pudełko z przylepioną taśmą na przedniej ściance, na której nadrukowano datę. Na płytce od góry pudełka wygrawerowana została linijka pajęczego dardreańskiego pisma

— *Ra-Dwanaście* — przetłumaczyła Peer. — To nazwa statku.

— A więc to dardreański statek! Ale oni tutaj używali kalendarza Imperium — zauważył Channok, — co wskazywałoby na załogę Imperium… Jak to znalazłaś? Jeśli to jest dziennik okrętowy, może nam dać wyobrażenie o tym, co się tu stało.

— Później, Channy! Właśnie znalazłem kolejne drzwi wychodzące z drugiego końca sterówki…

Drzwi otwierały się na inny korytarz, równoległy do tego, którym weszli do sterówki, ale tylko o połowie długości tamtego i bardzo słabo oświetlony. Zanurzony w niełatwych myślach Channok, zapomniał o własnych instrukcjach i pozwolił Peer przejąć inicjatywę.

— Kolejne kabiny! — powiedział jej głos, w chwili gdy zdał sobie sprawę z zniszczonej framugi, z której światło wylewało się na korytarz.

Z tej kabiny korzystała kobieta. Kobieta, która lubiła piękne i drogie rzeczy, sądząc po tym, co leżało porozrzucane w środku. „Wygląda to tak”, pomyślał Channok, „jakby nie zdążyła dokończyć pakowania.”

— A jednak jej skafander zniknął — oznajmił głos Peer z wnętrza zawalonej rzeczami szafy.

Channok sprawdził drzwi. To był pierwszy ślad tego, że w związku z wydarzeniami na *Ra-Dwanaście* doszło do jakiejś formy przemocy. Drzwi zostały zamknięte na klucz od zewnątrz i dosłownie rozerwane od środka przez strumień rozżarzonego ognia, wystrzelony w nie z pistoletu trzymanego prawdopodobnie nie dalej niż w odległości stopy. Ta kobieta chciała wydostać się stąd w strasznym pośpiechu!

Peer podeszła, żeby popatrzeć co robi. Nie potrafił odczytać jej wyrazu twarzy, ale miał przeczucie, że miała ochotę krzyczeć.

— Rzućmy krótko okiem na resztę i wróćmy do *Asteroidy* — zasugerował, sam nieco poruszony. — Powinniśmy to omówić.

Jedyna kabina, która im pozostała, leżała tuż za miejscem, w którym korytarz skręcał z powrotem do statku. Tam też paliło się światło, a drzwi były uchylone. Channok dotarł tam pierwszy i otworzył je trochę szerzej. Potem przez chwilę stanął nieruchomo w wejściu.

— Czemu się zatrzymałeś? — spytała niecierpliwie Peer, szturchając go od tyłu w żebra.

Wrócił na korytarz, zamknął zupełnie drzwi, uniósł ją i złapał mocno w ramiona. Jego kosmiczne buty wydawały się mu ciężkie jak żelazne kotwice, kiedy ze stukotem podeszew biegł z powrotem przez korytarze do śluzy wraku. Nie było już niczego określonego przed czym trzeba by było uciekać; ale obecnie wiedział, co się stało na *Ra-Dwanaście*, i przez całą drogę do wyjścia czuł kroczący za sobą koszmar.

Jednym skokiem pokonał odległość do śluzy w pomieszczeniu sterówki *Asteroidy*, nie zawracając sobie głowy silniczkami odrzutowymi.

— **Z**amknij zewnętrzny właz! — powiedział ochryple do Peer, sięgając do przełącznika z umieszczonym nad nim napisem „Odkażacz”.

Chwilę później poczwórny strumień żółtawego Killall wypełnił mgłą zamknięte w śluzie powietrze.

— Co to było? — Z mgły doleciał głos Peer.

— Antybiotyk… — powiedział Channok, wciąż czując włosy stojące na głowie. — Myślę, że to było coś, co wy… co podróżnicy nazywacie lich. Nie znam się na tego rodzaju rzeczach. Ale dopadło to gościa, którego znalazłem w tej ostatniej kabinie. Facet z ostatniej kabiny wyglądał, jakby ktoś strzelił do niego ze szczególnie okrutnego pistoletu na kwas, który jakimś cudem nie uszkodził jego ubrania. Tym przerażającym formom życia, które dają takie skutki, zwykły skafander kosmiczny nie stawiłby żadnego oporu.

— Channy, lich nie jest w stanie przetrwać w kosmosie dłużej, niż jakąś godzinę — rozległ się po chwili wstrząśnięty głos Peer. — Działa on w naprawdę okropny sposób, ale do tej pory to paskudztwo musi być już od dłuższego czasu martwe.

— Wiem — odparł Channok. Zawahał się, po czym odciął strumień Killall i włączył dmuchawy, aby oczyścić śluzę. — Chyba po prostu przez chwilę spanikowałem. Ale przejdę się po tym statku ze środkiem odkażającym, zanim zaczniemy go dalej badać! A w międzyczasie lepiej prześpij się przez parę godzin!

— Nikomu by to nie zaszkodziło — zgodziła się Peer. — Jak myślisz, jak lich dostał się na pokład?

Mógł jej to powiedzieć. W rogu kabiny widział ciężki szklany pojemnik o stalowej ramie, otwarty. Musieli przewozić jakąś zakaźną formę antybiotyku; i musiał wydarzyć się wypadek…

Pięć godzin później doszli do wniosku, że to nie był wypadek. Cztery godziny z tego czasu, Channokowi zajęła dezynfekcja *Ra-Dwanaście*, nawet jego sekcji silnikowej. Jedynego pozostałego na pokładzie człowieka pochował w kosmosie, w jednej ze stalowych skrzyń ładunkowych *Asteroidy*. Skrzynia nie została wystrzelona bardzo daleko i w tej chwili wisiała jakieś osiemdziesiąt jardów ponad obydwoma statkami, widoczna jako czarny prostokąt zasłaniający znajdujące się za nią gwiazdy.

Skrzynia i jej zawartość były jednym z powodów, dla których Channok chętnie dałby sobie spokój z zadaniem ratowania *Ra-Dwanaście*. Był to piękny statek o wspaniałych kształtach; ale po tym co się stało, wiedział, że nigdy nie będzie w stanie zdobyć się na cieplejsze uczucia względem niego. Wydawało się, że czeka on ponuro i cicho na okazję, by dopaść dwoje ludzi, którzy odważyli się wejść ponownie na jego pokład.

Wkrótce uszczelnił go, wypełnił mieszanką świeżego powietrza i sprawdziwszy jeszcze raz wszystko, co tylko potrafił wymyśleć, pozwolił Peer ponownie przylecieć na niego, na ostatnią odprawę dotyczącą ich lotu na Starego Bezimiennego.

Peer natychmiast zawędrowała do kabiny, w której znajdował się martwy człowiek, i tam znalazła w ścianie sejf.

III

Zawołała go. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógł to przeoczyć. Może dlatego, że było to takie oczywiste! Z tego, co widzieli od przodu, był to dosyć zwyczajny sejf; a w zamku tkwił niewielki klucz.

Przyjrzeli się mu w zamyśleniu.

— Nie próbowałaś go otworzyć, prawda? — zapytał Channok.

— Nie — odparła Peer — dlatego że…

— Ja też o tym pomyślałem — przyznał Channok.

Uznali, że na statku działały przeciwko sobie co najmniej dwie grupy. Martwy mężczyzna był odpowiedzialny za antybiotyk. Może kobieta była po jego stronie, a może nie. Ale ośmiu pozostałych ludzi działało razem i kontrolowało statek. Trudno było teraz powiedzieć, jakie ich działania lub groźby spowodowały, że zmarły uwolnił swoją straszliwą broń. Ale zrobił to i ośmiu ludzi natychmiast porzuciło *Ra-Dwanaście*, pozostawiając kobietę zamkniętą w jej kabinie...

Z dużym prawdopodobieństwem wyglądało na to, że to ona przestawiła silniki na pełną prędkość – zanim wyskoczyła w kosmos. W opinii Channoka, dość radykalny, desperacki ruch. Dziennik *Ra-Dwanaście* zawierał informację, że opuścili Dardreę trzy kalendarzowe dni wcześniej, ale nie było w nim już żadnych dalszych informacji, które mogłyby pomóc w identyfikacji załogi albo pasażerów. Większość z nich to byli zawodowi przestępcy, można to było całkiem bezpiecznie założyć – jak wskazała Peer, słowami podróżników, amatorzy nie bawią się zakazaną bronią, taką jak lich w butelkach!

Ponadto amatorzy – tacy jak na przykład Peer i Channok – mieliby na tyle dużo zdrowego rozsądku, aby nie wpaść w tego rodzaju pułapkę...

— Oczywiście powinien zdawać sobie sprawę — powiedział w zamyśleniu Channok — że wszyscy będą się zastanawiać, co kryje się w tym sejfie! A mogło to być wszystko, łącznie z pełnymi instrukcjami, jak stworzyć sztuczną kulturę antybiotyków. Mnóstwo rządów zapłaciłoby za tego rodzaju informacje, dwadzieścia razy tyle ile wart jest *Ra-Dwanaście*, jako pryz po akcji ratowniczej. Ale to nie jest nic takiego, co my musielibyśmy wiedzieć.

— Nie jakoś koniecznie — zgodziła się Peer.

— A lepiej by było żeby gość, który otworzy ten sejf, był ekspertem od uzbrojenia! My nimi nie jesteśmy. Ale teraz, załogantko Peer, jeśli chcemy dostarczyć ładunek Santisa do skrytki na Starym Bezimiennym, zanim zasnę, to powinniśmy zabrać się za to. Próżna ciekawość to coś, co możemy zaspokoić innym razem.

— W tej chwili mamy już dwie godziny po twoim okresie snu! — stwierdziła Peer, spoglądając na zegarek. — Oj, oj! To zawsze sprawia, że robisz się taki zrzędliwy.

Pół godziny później byli już w drodze – Channok leciał *Ra-Dwanaście*, Peer *Asteroidą*, trzymając się tak blisko siebie, na ile mogły bezpiecznie zbliżyć się dwa statki w locie. Utrzymując czerwony blask słońca Starego Bezimiennego, nieco obok środka przedniego ekranu, Channok siedział w najbardziej wygodnym fotelu pilota, jaki kiedykolwiek widział na jakimkolwiek statku. Stwierdził, że może trochę się odprężyć. Peer najwyraźniej świetnie się bawiła, wykonując swój pierwszy samodzielny lot na statku wielkości *Asteroidy*; a ponieważ wiele razy latała już i lądowała *Asteroidą* pod jego nadzorem, nie martwił się, że nie będzie sobie w stanie z tym poradzić. Jednakże nadal mniej więcej co pięć minut sprawdzał ją przez komunikator i uśmiechał się, słysząc w odpowiedzi energiczne odpowiedzi, przypominające odzywki profesjonalnego marynarza. Załogantka Peer zachowywała się obecnie absolutnie wzorcowo!

Z biegiem czasu – nie potrafił powiedzieć, kiedy się to zaczęło – Channok zaczął zdawać sobie sprawę, że wokół niego dzieją się bardzo dziwne rzeczy…

Okazało się, że Stworowi, którego wysłał pogrzebanego w kosmicznej skrzyni, nie spodobał się pomysł pozostania samemu. Więc podążał za nim.

Channok zdecydował z niepokojem, że najlepiej będzie to zignorować. Ale tamten zbliżał się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu skrzynia unosiła się tuż za iluminatorem pomieszczenia sterówki *Ra-Dwanaście*, obracając się powoli, jak szybujący na wietrze dach.

Skrzynia pozostawała zamknięta, ale wiedział, że coś w niej obserwuje go uważnie.

— To mój statek — zauważył niebawem Stwór.

Channok zignorował to.

— A ty jesteś zupełnie sam — dorzucił Stwór.

— Nie, nieprawda! — odparł Channok. — Jest ze mną Peer.

— Peer wróciła do Santisa — oznajmił Stwór. — Jesteś sam! Z wyjątkiem — dodał, — mnie.

— No cóż, do widzenia! — powiedział stanowczo Channok. Nie było sensu być dla tego czegoś zbyt przyjaznym. Przesunął dźwignie napędu *Ra-Dwanaście* tak daleko, jak tylko się dało, i skrzynia zniknęła w oddali.

Jak ten statek potrafił latać! Teraz nic nie mogło za nim nadążyć – może poza tym okrągłym, czerwonym punkcikiem światła tuż za *Ra-Dwanaście*. Prawdę mówiąc wyprzedzał go on i to szybko. Zbliżał się jak policyjny statek kosmiczny, przed którym pędziła potężna, głucha fala wycia. Channok przysłuchiwał mu się z obawą. Nagle zaczął rozróżniać słowa:

— ŁUUUU-ŁUUUU! — wył jak potępiony. — Tutaj Kosmiczny Duch!

Wyskoczył ze swego fotela, jak wystraszony kot, przewrócił go i rozejrzał się dookoła.

Sterówka Ra-Dwanaście otaczała go, jasno oświetlona i cicha.

— Ha, ha! — z komunikatora dobiegał śmiech Peer. — Założę się, że to cię obudziło! Czy to ty się przewróciłaś?

— Uff-uff! — odetchnął Channok. Wrócił mu język w gębie. — No dobrze, załogantko Peer! Poczekaj tylko, aż dotrzemy do Starego Bezimiennego! Dostaniesz tam po uszach!

— Czy mam ci teraz opowiedzieć historię o statku grozy z Mizara? — spytała nieustraszenie Peer.

— Śmiało, proszę — rzucił wyzywająco Channok, stawiając fotel na miejscu i siadając w nim z powrotem. — Nie jesteś w stanie wystraszyć mnie takimi rzeczami! — Zaczął sprawdzać ich pozycję.

Musiał spać od dłuższego czasu! Układ Bezimiennego był teraz mniej niż dwie godziny przed nimi. Włączył przedni ekran; a słońce wypłynęło przed jego oczyma jak wielki, żarzący się węgiel. Zaczął szukać siódmej planety.

— No i co — przypomniał ponuro do komunikatora, — miałaś mi coś opowiedzieć.

Komunikator milczał przez chwilę.

— Nie sądzę, żebym to zrobiła — odparła w końcu Peer, dosyć cichym głosem.

— Dlaczego nie? — spytał Channok, odsuwając widok na ekranie od pasa meteorytów w Układzie Bezimiennego.

— Za dobrze udawałam tego Ducha Kosmicznego! — szepnęła Peer. — Sama się teraz boję.

— Acha! — stwierdził Channok. — Widzisz, jakie są skutki takiego zachowania? — Wrzucił na ekran Starego Bezimiennego VII.

Komunikator pozostał milczący. Spojrzał na niego.

— Oczywiście, naprawdę nie ma się czego bać! — dodał uspokajająco.

— A skąd wiesz? — zadrżała Peer. — Jestem zupełnie sama.

— Nonsens! — oznajmił serdecznie Channok. — Widzę *Asteroidę* na ekranie! Widzisz mnie przecież, prawda?

— Jasne — powiedziała Peer. — Ale to tak daleko. Nic nie mógłbyś zrobić!

— To niebezpieczne, aby dwa statki leciały jeszcze bliżej siebie — przypomniał jej Channok. — Jesteśmy tylko dwie godziny od Starego Bezimiennego – już mu się przypatrzyłem.

— Ja przyglądałam mu się przez godzinę — powiedziała Peer. — Kiedy ty chrapałeś jak suseł — dodała. — Dwie godziny to strasznie długo!

— Wiesz co — zasugerował Channok. — Wyprzedzę cię w drodze do niego. *Ra-Dwanaście* to mocny, szybki statek… — powstrzymał się. W końcu tylko o tym śnił.

— Ścigajmy się! — krótko zgodziła się Peer.

Przez całą drogę pozwolił Peer utrzymywać się tuż przed nim, chociaż wrak o opływowych kształtach prawdopodobnie mógłby robić wokół *Asteroidy* kółka. Zaledwie godzinę później dwukrotnie okrążyli Starego

Bezimiennego VII, hamując, a następnie weszli w jego atmosferę na silnikach pomocniczych.

— To jest właściwe miejsce — odezwał się nagle głos Peer. — Widzę stary Kopiec na równinie! Popatrz tam obok, na krawędzi strefy wieczoru, Channy – ta pionowa ściana skalna!

Sprowadził najpierw na dół *Ra-Dwanaście*, lądując u podstawy góry, która wznosiła się prawie pionowo na jakieś osiemnaście tysięcy stóp, z płaskiego, ocienionego półmrokiem kawałka kamienistej pustyni.

Asteroida usiadła w bardzo zgrabnym lądowaniu, dwieście metrów dalej. Dobiegł do niej właśnie w chwili, gdy otworzyła się przednia śluza. Peer wypadła z niej prosto w jego ramiona i zawisła w nie wczepiona, podczas gdy jej kapitan tulił ją czule.

— Niech ten strach będzie dla ciebie nauczką! — zauważył, kiedy ją postawił na ziemi.

— Z pewnością będzie — obiecała Peer, wciąż ściskając jego rękę, gdy ruszyli do *Ra-Dwanaście*. — Ten stary Duch Kosmiczny naprawdę dał mi popalić!

— Mnie też — wyznał; — w każdym razie, co najmniej przez chwilę! No dobrze, zajmijmy się naszymi sprawami.

Jeszcze raz przejrzeli *Ra-Dwanaście* od dziobu do rufy, aby upewnić się, że nie ma na nim niczego, co chcieliby natychmiast ze sobą zabrać, i stwierdzili, że nie ma. Po raz ostatni popatrzyli z zastanowieniem na nieotwarty sejf w ścianie i ponownie zdecydowali, że lepiej go nie otwierać. Potem wszystko wyłączyli, zamknęli za sobą przednią śluzę i zabezpieczyli ją śrubami dokowymi.

Kiedy wyszli z *Ra-Dwanaście*, niebo nad równiną już pociemniało, ale szczyt góry nadal świecił czerwonym blaskiem. Weszli na pokład *Asteroidy*, a Channok zamknął śluzę. Potem ruszył do pulpitu ze sterami; ale Peer wyprzedziła go i wczepiła się w fotel kapitański rękoma, kolanami i stopami. Niemal od razu stało się jasne, że nie da rady jej z niego wyciągnąć, nie ryzykując, że urwie jej głowę.

— A teraz mnie posłuchaj, załogantko Peer — oznajmił perswazyjnym tonem. — Dobrze wiesz, że te ciężkie transportowe pudła mają jedną słabą stronę, i jest nią start!

— Może być nią też pilot — odparła znacząco Peer. — Studiowałam podręcznik i obserwowałam, jak to robisz. Teraz moja kolej.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

— A jeśli nagle umrzesz ze starości? — argumentowała Peer. — Nie chciałbyś chyba, żebym siedziała tutaj sama, nie wiedząc nawet, jak wystartować statkiem, prawda?

To był celny argument.

— No dalej, śmiało — powiedział Channok z godnością, zajmując miejsce z tyłu fotela. — Proszę bardzo. Ten zgrzybiały dwudziestoośmioletni starzec, stanie sobie tutaj i będzie śmiał się do rozpuku!

— Pewnie, rozpukniesz się — obiecała Peer. — Ale to nie będzie ze śmiechu! Przeczytam ci kiedyś odpowiedni rozdział z instrukcji.

Ona rzeczywiście go studiowała, zdecydował. Usiadła nachylona do przodu na skraju fotela, czujna i pewna siebie, bez wahania przeszła przez wszystkie operacje przedstartowe. *Asteroida* zagrzmiała pod nimi, szybko nabierając coraz większej mocy...

Channok zaparł się…

IV

Przez kilka kolejnych sekund wydawało się, że pytanie brzmi, czy najpierw spadną na równinę, czy też wpadną na górę; a przez następną nieprawdopodobną chwilę, wyraźnie ślizgali się do góry nogami. Potem Peer wyprostowała ich i szybko wzbili się w nocne niebo nad Starym Bezimiennym.

Włosy Channoka powoli opadły na miejsce.

Peer obejrzała się do tyłu na niego, zdziwiona i dosyć blada.

— To nie było tak, jak jest napisane w instrukcji! — stwierdziła.

Channok zaczął się śmiać. Potem usiadł na podłodze, schylił się i zaczął ryczeć ze śmiechu.

Kiedy w końcu otarł łzy z oczu, Peer patrzyła na niego z niesmakiem z fotela pilota.

— To nie było tak, jak jest napisane w instrukcji! — powtórzyła stanowczo. — Będziemy musieli poddać to stare pudło gruntownemu przeglądowi, zanim będzie mogło bezpiecznie latać – i gdybyś nie był moim mężem, naprawdę powiedziałabym ci co o tym myślę!

Wstał, mamrocząc jakieś przeprosiny.

— Sam zrobiłem to parę razy tak samo źle! — zapewnił ją.

— Brednie! — oznajmiła chłodno Peer, przyglądając się na ekranie znajdującemu się pod nimi Staremu Bezimiennemu VII. Poklepanie jej po głowie wydawało się w tej sytuacji bezpieczne, ale trzymał rękę poza zasięgiem kąsania.

— Lepiej wróćmy do tej góry i zasypmy *Ra-Dwanaście*, zanim zrobi się za ciemno, żeby znaleźć to miejsce — zasugerował.

— Nadal jest w zasięgu wzroku — stwierdziła Peer. — Przygotuj działka, a ja powoli przelecę koło niego.

Statki kosmiczne były tym, czym były, więc nie było wiele dyskusji na temat zabezpieczenia przechowywania *Ra-Dwanaście*. Channok wysunął dziobową wieżyczkę; a gdy Peer powoli prowadziła *Asteroidę* wzdłuż zbocza góry kilkaset stóp nad *Ra-Dwanaście*, wyciął w skale poszarpaną linię za pomocą podwójnych promieni działek. Kilkadziesiąt ton skał spadło z hukiem na *Ra-Dwanaście*.

Wrócili z innej strony, na nieco wyższym pułapie, i jeszcze bardziej przeorał skałę. Tym razem wyglądało to tak, jakby osunął się spory odcinek góry; a kiedy opadł kurz, *Ra-Dwanaście* znajdował się pięćdziesiąt stóp pod pochyłą stertą bardzo naturalnie wyglądających odłamków skalnych. Aby wyciągnąć statek z powrotem, wystarczyło wyciąć drogę w

dół do jego śluzy i uruchomić silniki. Wyszedłby wtedy z tego rumowiska, jak pstrąg rozcinający wodę...

Zadowoleni odlecieli i wyprowadzili Asteroidę na orbitę wokół Starego Bezimiennego, w niezbyt dużej odległości. Peer zapewniła Channoka, że badania Santisa dowiodły, iż planeta jest bezpieczna dla ludzi, więc prawdopodobnie tak było. Wiedział jednak, że czułby się bardziej komfortowo, gdyby okresy snu spędzali poza atmosferą. Skąpany w ponurym świetle gigantycznego słońca, Stary Bezimienny VII wyglądał jak opuszczone przedpole piekła. Było kamienisty, piaszczysty, pozornie pozbawiony wody i życia, poplamiony bladymi połaciami suchych słonych mórz. Po jego biegunach pełzały niezwykle delikatne zorze, jak krzywe aureole okrążające przysadzistego, wylęgającego się demona. Jak zdecydował Channok, to nie była planeta, na której warto by się zatrzymywać, w jakimkolwiek celu.

Urwisko, pod którym zasypali *Ra-Dwanaście*, było najwyższą częścią niemal nieprzerwanego łańcucha gór, otaczającego mniej więcej kolistą stumilową równinę, usianą osypiskami głazów i piaskowymi wzgórzami, jak krater księżycowy. To, co Peer nazwała „Kopcem", leżało w przybliżeniu pośrodku równiny. Następnego ranka okazało się, że była to mocno zwietrzała konstrukcja w kształcie kopuły, wysoka na pół mili i szeroka na pięć mil, co sprawiało wrażenie, jakby w piasku została zakopana jakaś gigantyczna czaszka olbrzyma, z której wystawała tylko górna dziesiąta część, powgniatana tu i ówdzie masywnymi młotami i gęsto obsypana skalną drobnicą. To był oczywiście artefakt – zbudowany ze stustopowych cegieł! Gdy *Asteroida* opadła bliżej niej, w Channoku obudziło się zainteresowanie.

— Kto to zbudował? — spytał.

Peer wzruszyła ramionami. Nie wiedziała.

— Santis spędził kiedyś kilka godzin, oblatując go ze wszystkich stron — powiedziała. — Ale nie powiedział nam wiele, a potem nie pozwalał nam zbliżać się do niego nie więcej niż na milę. Sam też już nigdy tam nie wracał – mówił, że zbliżanie się do niego jest niebezpieczne!

Kopiec nie wyglądał groźnie. Ale pięćdziesiąt tysięcy lat temu mogła to być jakaś forteca.

— Nawet nie powinieneś przelatywać nad nim tak nisko! — powiedziała ostrzegawczo Peer. — W samym środku, na szczycie, jest najbardziej niebezpieczne miejsce – tak mówił Santis!

Channok nie spierał się odnośnie tej kwestii – i tak najpierw musieli schować specjalny ładunek Santisa i pozbyć się go z pokładu. Podniósł *Asteroidę* mniej więcej na wysokość mili, a następnie sprowadził go na ziemię, kilka mil za Kopcem, w miejscu, które wskazała Peer.

Wysiedli ze statku i rozejrzeli się po zniszczonej, skalistej równinie. Czerwone światło Bezimiennego Słońca rozlewało się po niej, w porze, która na tej planecie uchodziła za poranek. W jego blasku, czarne łańcuchy górskie wznoszące się na horyzoncie i skaliste fale płaskiej ziemi,

dawały ogólny efekt roztrzaskanego bombami i powoli płonącego miasta. Daleko po lewej stronie widział górną połowę potężnej skalnej ściany, która wskazywała miejsce spoczynku *Ra-Dwanaście*.

— Jak mówiłaś, ile czasu spędziłaś tutaj? — zapytał.

Peer zamyśliła się.

— Wydaje mi się, że około dwóch terra-miesięcy. Nie jestem jednak pewna. To było tak dawno temu. Mój najmłodszy brat, Dobby, jeszcze się wtedy nie urodził.

Pokręcił głową.

— Co za miejsce na miły rodzinny piknik!

— To nie był piknik — zauważyła Peer. — Ale mój mały braciszek Wilf i ja, świetnie się bawiliśmy, zwyczajnie biegając wszędzie i drażniąc ghule. Myślę, że zbyt mało bierzesz pod uwagę, jak mogło wyglądać to miejsce, dla kogoś kto jest mały.

— Co drażniąc?

— Ghule — wyjaśniła beztrosko Peer.

Popatrzył na nią podejrzliwie; ale wydawało się, że jego żona bada teren w pobliżu, w poszukiwaniu dobrego miejsca do rozpoczęcia kopania.

— A gdzie byli Santis i twoja matka? — zapytał.

— Szukali złóż jakiegoś minerału na Starym Bezimiennym; zapomniałam już czego. A może to miejsce – tuż pod tym niewielkim nawisem? Wygląda na dobrą, solidną skałę.

Channok zgodził się, że to było odpowiednie miejsce. Miał przystawkę wiertniczą zamontowaną na małym, uniwersalnym traktorze *Asteroidy*; i teraz poszedł na tył, a potem zjechał maszyną po rampie ze śluzy ładunkowej. Polecił Peer, która miała ochotę mu pomóc, aby wspięła się na skałę mniej więcej dwadzieścia stóp wyżej, gdzie usiadła na kamieniu, wyglądając jak oburzony elf, poza zasięgiem jakichś zbłąkanych strumieni kamieni wyrzucanych spod wiertła. Potem zaczął robić ukośny, wąski tunel pod nawisem.

Pół godziny później, kiedy wycofał traktor z tunelu, wypychając za sobą stos gotującego się żużla, zobaczył ją stojącą na skale z małym paralizatorem w dłoni. Skinęła na niego.

Channok zdjął maskę do oddychania, wyłączył traktor i zeskoczył z siodełka.

— Co się dzieje? — zawołał niespokojnie, biegnąc truchtem w jej stronę, podczas gdy stukot i ryk maszyny powoli cichły.

— Pojawiło się tylko parę tych ghuli! — zawołała w odpowiedzi Peer. — Chodź tutaj, to ci je pokażę. — Nie wyglądała na przejętą.

— Schowały się właśnie za te skały — powiedziała, kiedy wspiął się na górę i stanął obok niej; — ale nie zostaną tam długo. Są ciekawe i myślę, że niektóre z nich pamiętają chwile, kiedy byliśmy tu wcześniej.

— Czy są niebezpieczne? — zapytał, poklepując swój zestaw schowanych w kaburach ciężkich pistoletów rozrywających.

— Nie — powiedziała Peer. — Wyglądają trochę okropnie, ale nie powinieneś do nich strzelać! Jeśli zbliżą się na odległość mniejszą niż trzydzieści stóp, trzeba trafić je w brzuch paralizatorem. Chrząkają wtedy i uciekają. Santis powiedział, że to właściwy sposób, aby je nauczyć, że nie wolno być za bardzo wścibskim.

Czekali chwilę w milczeniu, przyglądając się skałom.

Wtedy Channok poderwał się gwałtownie.

— Święte !!**?** Satelity! — zaklął, włosy stanęły mu na głowie.

Duży, trupioblady kształt wskoczył sprężyście na skałę, znajdującą się w odległości około pięćdziesięciu stóp od nich, przez chwilę wpatrywał się w niego oczyma jak szare szklane talerze, a następnie zniknął z pola widzenia. Okropnie, to było dobre określenie!

— Acha! — załogantka Peer ucieszyła się i uśmiechnęła. Nie powinieneś tego mówić! Dziś w nocy to ty musisz pozwolić mi wyszorować ci usta mydłem!

Światło poranka stopniowo robiło się coraz silniejsze

— Zrobiłaś to celowo! — oskarżył ją. — Wiedziałaś, że powiem coś takiego, gdy po raz pierwszy je zobaczę!

Peer nie zaprzeczyła.

— To mydło i tak ci się należy! — wzruszyła ramionami. — Ludzie powinni wykazywać odrobinę samokontroli – sam tak mówiłeś! Patrz, tam jest jeszcze jeden – nie, dwa!

V

Kiedy przyszedł na lunch, stwierdził że w okolicy zebrało się około pięćdziesiąt ghouli. W tym czasie wykopał skrytkę do schowania ładunku, wyścielił ją stalą, zdezynfekował i zainstalował konserwanty, nawilżacz i płytę znacznikową. Przeładowanie towaru miało potrwać większą część dnia.

Podczas jedzenia unikał patrzenia na miejscowych mieszkańców, jak tylko mógł. Jednak nawet sporadyczne spojrzenia, jakie się zdarzały, sugerowały, że Bezimienny Układ podjął bezmyślną i fatalnie nieudaną próbę stworzenia własnego typu humanoidalnego tubylca. Mieli oni niezwykle sprawnie wyglądające szczęki, pod wieloma względami, a ich szerokie, pozbawione warg usta spowijał wieczny idiotyczny uśmiech. Channok uznał, że najbardziej niepasującymi częściami ich ciała są ogromne dłonie i stopy, z czerwonymi paznokciami. Jak grube, białe gargulce, siedziały wokół wierzchołków skał szerokim kręgiem, i tylko się gapiły.

— Co za niemiło wyglądające stwory — zauważył, dostrzegając wbite w siebie uważne spojrzenie Peer. — Ale przynajmniej nie usiłują nawiązać rozmowy!

— Nigdy się nie odzywają, dopóki nie trafi się ich w brzuch paralizatorem — poinformowała go. — Wtedy po prostu chrząkają i uciekają.

— To pewne, że nie wywoła to żadnej ich złośliwej reakcji? Najmniejszy z tej bandy wygląda na wystarczająco dużego, by rozerwać nas oboje na strzępy.

Peer się roześmiała.

— Nawet wszystkie razem nie spróbowałyby tego! To prawdziwe tchórze. Wilf raz wściekł się na parę z nich i przegnał je na pół drogi do Kopca, zanim matka go nie dogoniła i nie powstrzymała. Wilfowi wtedy naprawdę krew zakipiała!

— Może to ghule zbudowały Kopiec — zasugerował Channok. — W każdym razie, ich pra-pra-przodkowie.

— Teraz nie zbliżają się do niego — powiedziała Peer, podążając za jego spojrzeniem. — Też się go boją!

Przez chwilę przyglądali się nierównym, niezgrabnym zboczom ogromnego artefaktu. „Jest w nim coś fascynującego", pomyślał Channok. „Może to tylko jego rozmiary."

— Santis powiedział, że jakiś czas temu ta równina była dnem morza — zaproponowała Peer. — Więc może zbudowały go jakiegoś rodzaju stworzenia morskie.

— Są do niego jakieś wejścia? — zapytał od niechcenia.

— Tylko jedno, na samej górze.

— Wiesz — powiedział. – Wydaje mi się, że miałbym ochotę podejść bliżej i rzucić na to coś okiem, zanim stąd odlecimy.

— Nie! — sprzeciwiła się zaniepokojona Peer. — Lepiej nie. Santis mówił, że to niebezpieczne… i tam coś jest! Pewnej nocy widzieliśmy światło.

— Jakiego rodzaju światło?

— Jakby ktoś chodził po szczycie, w pobliżu tego wejścia, z wielką lampą w ręku — przypomniała sobie Peer. — Jakby czegoś szukał.

— Brzmi trochę jak opowieści o twoim starym przyjacielu, Kosmicznym Duchu — mruknął podejrzliwie Channok.

— Nie — uśmiechnęła się Peer. — To było prawdziwe światło – i zaraz następnego wieczora odlecieliśmy. Santis powiedział, że może lepiej będzie, jeśli na jakiś czas wyniesiemy się gdzie indziej.

Channok zastanawiał się przez chwilę.

— Posłuchaj — powiedział w końcu — możemy to zrobić w taki sposób. Polecę tam sam i pokręcę się trochę po okolicy, przy świetle dziennym; a jeśli się martwisz, możesz poczekać na górze w *Asteroidzie* z kilkoma wieżyczkami wystawionymi na zewnątrz. Na wypadek, gdyby ktoś zaczął sprawiać problemy.

— Może i mogłabym — powiedziała Peer pełnym napięcia głosem — ale tego nie zrobię. Jeśli chcesz się tam kręcić, po tym co powiedział Santis, to ja mam zamiar trzymać się tuż za twoimi plecami!

— Och, nie, nie masz — stwierdził Channok.

— O tak, mam! — odparła Peer. — Nie możesz mnie zmusić do pozostania tutaj!

Popatrzył na nią zdziwiony. Oczy miała rozgniewane, ale dolna warga jej drżała.

— Hej — oznajmił zaskoczony. — Chyba zachowałem się jak świnia!

— Z pewnością! — powiedziała Peer z ulgą. Warga przestała jej drżeć. — Więc nie polecisz tam?

— Nie, jeśli ty myślisz o tym w taki sposób — zgodził się Channok. Przerwał. — Chyba - przyznał niezgrabnie - po prostu nie spodobał mi się pomysł, że Santis lata sobie po całym kosmosie, Święty Aynstyn wie gdzie, i ciągle bez przerwy wścibia swoje dwa milikredyty we wszystkie sprawy, za pośrednictwem załogantki Peer!

Peer wydmuchała nos i z kolei zastanowiła się na chwilę.

— To nie zmienia sytuacji — podsumowała. — Kiedy Santis mówi coś podobnego, o wiele lepiej jeśli się to zrobi. Czy ten „Święty Aynstyn wie, gdzie" to jakiegoś rodzaju przekleństwo?

— Nie — zaprzeczył Channok. — Nie do końca.

Skończył lunch i zamierzał właśnie zasugerować, żeby wyprowadzili traktor z przygotowanej skrytki i zawrócili kilkaset metrów do *Asteroidy*, aby załadować pierwszy ładunek Santisa, kiedy zauważył, że wszystkie ghule zniknęły.

Zwrócił na to uwagę Peer.

— Acha — odparła roztargnionym tonem. — Czasami tak robią…

Channok popatrzył na nią. Wpatrywała się w wysoki głaz, położony w niewielkiej odległości, z dziwnym, skupionym wyrazem twarzy, jakby nad czymś głęboko się zamyśliła. Miał nadzieję, że nie rozmyślała ciągle nad ich małą kłótnią…

Potem spojrzała na niego, posłała mu niespodziewany uśmiech, odwróciła się i zwinnie ześlizgnęła się ze skały.

— Chodź szybko! — zawołała go. — Chcę ci coś pokazać, zanim wrócisz do pracy. Nora ghula!

— Nora ghula? — powtórzył Channok bez entuzjazmu.

— Tak, pewnie! — rzuciła niecierpliwie Peer. — Są świetne! Wszystkie są wyłożone szkłem czy czymś podobnym. — Rozłożyła szeroko ramiona. — Skacz, a ja cię złapię!

Channok roześmiał się, przewrócił się na brzuch, przerzucając nogi przez krawędź skały, i zsunął w dół, naśladując nonszalancki styl zejścia Peer, skręcając sobie przy tym tylko odrobinę kostkę. No cóż, w przeciwieństwie do niej nie dorastał przeskakując ze skalistego księżyca na asteroidę, a potem na ciężką planetę…

Wspięli się po skałach do miejsca, które badała. Wyjaśniła, że będzie musiał wejść do nory, żeby dobrze zrozumieć, jak ona wygląda.

— No dobrze, ale spójrz tylko na to, Peer! — zaprotestował Channok, wpatrując się w dużą, okrągłą dziurę schodzącą w dół pod dużym głazem – rzeczywiście wyglądała na wyłożoną jakimś czarnym szkłem lub podobnym materiałem. — Ta jaskinia ma na sobie wypisane „Zakaz

wstępu” i to drukowanymi literami. A co, jeśli ześlizgnę się pół mili w dół i wyląduję w tłumie ghuli!

— Nie, nie spadniesz — wyjaśniła pośpiesznie Peer. — Od razu robią się poziome i nigdy nie mają więcej niż trzydzieści stóp długości. A ghul wyszedł – nigdy nie przypada więcej niż jeden na norę; a widziałem, jak ten wyskoczył i uciekł tuż przed tym, jak weszliśmy tutaj! Nie boisz się, prawda? Wilf i ja wczołgaliśmy się do setek z nich!

— No cóż, więc tylko na chwilę — odparł z rezygnacją Channok.

Ukląkł na czworakach i wpełznął do tunelu. Po mniej więcej sześciu stopach zatrzymał się i stwierdził, że może zawrócić bez większych problemów.

— Peer? — zawołał do tyłu.

— Tak? — odparła Peer.

— Jak miałbym tutaj cokolwiek zobaczyć — zapytał z irytacją Channok, — skoro jest tu zupełnie ciemno?

— No dobrze, jesteś już wystarczająco daleko — powiedziała Peer, która usiadła przed wejściem do tunelu i patrzyła za nim. — A teraz muszę cię o coś prosić! Wiesz przecież, jak szybko zawsze wykonuję wszelkie polecenia, które ty mi wydajesz, na przykład żebym przespała pełny okres snu i wszystkie inne? — dodała z niepokojem.

— Nie, to nieprawda! — stwierdził stanowczo Channok, opierając się na łokciach. — Co chwila praktycznie muszę cię zaciągnąć siłą do kabiny. W każdym razie, co to ma wspólnego z…

— Chodzi mi o to, że… — wyrzuciła z siebie desperacko Peer; na chwilę zerknęła do górę, jakby dostrzegła coś na mrocznym czerwonym niebie nad głową — …musisz przez chwilę zostać tam w środku, Channy!

— Ech? — spytał Channok.

— Kiedy te ghule znikają z pola widzenia w ciągu dnia, to dlatego, że zbliża się statek lub coś innego.

— Peer, czy ty zwariowałaś? Statek! Kto… zaraz wychodzę!

— Zostań tam, Channy! Wisi teraz nad *Asteroidą*. Wielka łódź ratunkowa z wysuniętymi działkami – to pewnie ci ludzie z *Ra-Dwanaście*! Musieli mieć na szalupie jakieś urządzenia śledzące!

— W takim razie chodź tu szybko, Peer! — Channok zakrztusił się, wyciągając jeden z pistoletów rozrywających. — Wiesz dobrze i z pewnością, że ta banda zabije kobietę równie szybko, jak mężczyznę!

— Już mnie widzieli – chciałam, żeby tak się stało — poinformowała go Peer. Mówiła kącikiem ust, patrząc prosto przed siebie, z dala od jaskini. — Nie mam zamiaru grać kobiety. Będę udawać głupią małą dziewczynkę, mojego wzrostu. Mogę to przerwać w każdej chwili!

— Ale…

— Chcą nas wypytać. Myślę, że uda mi się skłonić ich do odesłania tej łodzi ratunkowej. Nie możemy z nią walczyć, Channy; to regularnie uzbrojony okręt! Santis mówi, że zawsze możesz skłonić drugą stronę do podziału sił, jeśli mądrze to rozegrasz.

— Ale jak…

— A potem, kiedy krzyczę: „Ruszamy!” wtedy ty wyskoczysz. To będzie właściwa chwila… — Wstała nagle. — Nie możemy już dłużej rozmawiać! Zbliżają się… — I z tymi słowami zniknęła sprzed wejścia do nory.

— Zatrzymaj się! — jakiś głos krzyknął w oddali kilka sekund później, gdy Channok czołgał się niezdarnie po szklistej podłodze tunelu, spowalniany przez rozrywacza, którego wciąż ściskał w jednej ręce. Wydawało się, że głos dolatuje skądś z góry i używa uniwersalnego dialektu Imperium.

Kroki Peer nagle ucichły.

— Kim jesteście? — w jej głosie dźwięczał przeraźliwy alarm. — Jesteście gliniarzami? Ja nic nie zrobiłam!

VI

— **S**pójrz tylko na tę całą broń, którą się obwiesiła! — skomentował niższy z dwóch obcych głosów. — To prawdziwy arsenał – ogłuszacz i igłowiec Ophto! Lepiej jej to zabrać. Jeśli to nie jest dzieciak Flauval!

— Nikogo ostatnio nie zastrzeliłam! — oznajmiła Peer drżącym głosem.

— Nie, i nikogo nie zastrzelisz również i teraz! — przedrzeźniał ją drugi obcy głos. Ten był wysoki i cienki, z wyraźną nosową wymową. — Szefie, jeśli są z nimi dzieci, to pewnie tylko jakaś grupa kosmicznych szczurów, która akurat się napatoczyła. To nie mogła być Flauval!

— Powiedziałbym, że „to nie mogła być Flauval”, gdybyśmy znaleźli ją martwą w jej kabinie — odparł z irytacją niski głos. — Ale tamte drzwi zostały wypalone od wewnątrz – i ktoś zostawił *Ra-Dwanaście* na tej kupie kamieni! — Wyglądało na to, że spotkanie z Peer przerwało jakiś spór między nimi.

— Nadal nie rozumiem, w jaki sposób zdołała się wydostać — zauważył ponuro nosowy głos. — Musiała spać w skafandrze kosmicznym. Wyszliśmy ze statku trzydzieści sekund po tym, jak zablokowałem strzałem zamek w jej drzwiach! Musiała wyczuć start łodzi i w tej samej chwili zaczęła wypalać sobie drogę na zewnątrz…

— Nie ma znaczenia, jak to zrobiła — odparł niski głos. Najwyraźniej należał do kogoś będącego przy władzy. — Jeśli Flauval potrafiła myśleć i poruszać się wystarczająco szybko, aby przełączyć silniki w tryb pełnej szybkości alarmowej, i mimo to wydostała się żywa ze statku pełnego Yomm, z pewnością była w stanie również jakoś oszukać kosmos! Zawsze miała diabelne szczęście. Gdybyśmy tylko przed odlotem mieli tę chwilę czasu do stracenia, aby upewnić się…

Głos przerwał na chwilę i po chwili podjął ponuro:

— Ten stary, uparty maniak Koyle… „Jestem człowiekiem księcia, szanowny panie!”. Popełnić samobójstwo – w taki sposób – aby ktoś inny nie przejął kontroli nad Yommem! Gdybyśmy nie zdążyli na czas

uruchomić lokalizatorów startowych… No cóż, mam nadzieję, że nigdy w życiu już nie będę musiał przeżyć kolejnych cztery takich dni, jak ostatnie. A teraz ciągle musimy znaleźć tego, kto posiada zapiski Koyle'a!

— Flauval tu nie ma — oświadczyła wesoło Peer.

Nastąpiła krótka przerwa. Wydawało się, że obaj nowoprzybyli musieli na chwilę niemalże zapomnieć o swoim więźniu.

— **C**o powiedziałaś, mała? — spytał ostrożnie nosowy głos.

— Te kosmiczne szczury zwykle są na wpół szalone — stwierdził pogardliwie niski głos. — Ona nawet nie wie, o czym mówimy.

— Pewnie że wiem! — oznajmiła Peer z oburzeniem. — Mówiliście o Flauval. To Wilf, jest szalony, ja nie! I jej tu nie ma. Flauval.

— Nie ma jej, tak? — odezwał się nosowy głos z pełną zastanowienia czujnością.

— Nie ma, proszę pana — powiedziała Peer, znów nieśmiałym tonem. — Poszła razem z resztą.

Oba głosy zaklęły razem w zaskoczeniu.

— Gdzie oni są? — dopytywał się niski głos. — Ukrywają się na statku?

— Nie, proszę pana — drżąco odparła Peer. — Na statku jestem tylko ja, dopóki nie wrócą.

— Chcesz powiedzieć — powiedział niski głos z wytężoną cierpliwością — że powinnaś siedzieć na statku?

— Tak, proszę pana — wyjaśniła Peer. Dodała z pomrukiem winy: — Miałam spać…

— A dokąd poszli inni? — zapytał ostro nosowy głos.

— Ale ja nie jestem zmęczona — mówiła dalej Peer. — No, wzięli te pudełka i inne rzeczy! To, co Flauval chce zakopać.

Rozległ kolejny duet okrzyków, które Channok w prawie każdej innej chwili uznałby za wysoce nieodpowiednie dla uszu Peer. W tym momencie umknęło to jego uwadze.

— Ona ma zapiski Koyle'a! — stwierdził potem niski głos.

— Co jest w tych pudełkach? — warknął ten nosowy.

— P-p-proszę mną tak nie potrząsać! — zaszlochała Peer. — Papiery i takie tam… nie wiem. Nigdy mi nic nie mówią — zawodziła, — bo jestem tylko małą dziewczynką!

— Tak, jesteś tylko małą dziewczynką — powiedział zirytowany nosowy głos. — Nigdy nie będziesz też dużo większa.

— Przestań — wtrącił niski głos. — Nie ma sensu straszyć dzieciaka.

— No cóż, chyba nie zamierza pan zabierać ich ze sobą, co? — spytał nosowy głos.

— Nie. Tylko Flauval. Pułkownik z przyjemnością trochę z nią porozmawia, teraz, kiedy znowu ożyła. Koyle mógł jej wiele powiedzieć, zanim nastawiliśmy go przeciwko niej. Ale nie ma sensu, aby reszta z nich wpadła w desperację. Łatwiej będzie, kiedy się poddadzą.

Nastąpiła krótka przerwa. Potem niski głos zwrócił się do Peer z pewnego rodzaju uprzejmą szorstkością:

— Więc wszyscy poszli zakopać pudła, ale nie wiesz, dokąd poszli – czy tak, dziewczynko?

— Och, pewnie, że wiem! — powiedziała Peer, gorliwie pragnąc przypodobać się dorosłemu. — Tak, proszę pana! Wiem to!

— GDZIE? — wykrzyknęły oba głosy razem, po raz trzeci łącząc się w chór.

— Na ten wielki Kopiec — powiedziała Peer; i Channok nerwowo drgnął. — Na górze są tam wielkie drzwi. Nie — dodała, — myślę, że nie widać ich stąd z dołu, ani też nie widać ich ze statku. Dlatego wyszłam. Aby je zobaczyć. Ale widać je wyraźnie ze szczytu skał.

— To może być ten stary zbiornik, czy cokolwiek by to nie było, który tam mijaliśmy — zauważył niski głos.

— Zgadza się — powiedziała Peer. — Tak właśnie nazwała to Flauval w czasie lunchu! Słowo, które pan powiedział. Tam kiedyś była woda – tak mówiła. Polecieli ze skrzynkami na silniczkach odrzutowych, ale wrócą, zanim się ściemni – tak mi obiecali.

Zapadła krótka cisza.

— Boję się, kiedy jest ciemno, tak! — narzekało głupiutkie dziecko.

— No tak, to wszystko ładnie się łączy! — oznajmił niski głos, zadowolonym tonem. — To jest dokładnie taki numer, jakiego mogłaby spróbować Flauval. Ale tym razem się przechytrzyła!

— **J**aki ma pan plan, żeby się tym zająć? — zapytał nosowy głos.

— Wejdziesz z dzieckiem na jedną z tych skał, gdzieś skąd będziesz mógł obserwować zarówno ten „kopiec”, jak i śluzę ich statku. Tak, wiem, że ten sposób będzie bardziej kłopotliwy, ale nie rób niczego rozstrzygającego w sprawie… eee… o której mówiliśmy wcześniej, zanim nie złapiemy reszty z nich! Będzie o wiele bardziej przydatna, jeśli będzie w stanie oddychać. Możliwości wykorzystania zakładnika. Zachęcenie do poddania się!

— Acha — powiedział ze zrozumieniem nosowy głos.

— Tak jest! — dodała Peer.

Nastąpiła kolejna krótka przerwa.

— Pomińmy zbędne opisy — kontynuował niski głos. — Zachowajmy się po ludzku! Wyślę paru ludzi na statek i jeśli będzie pusty, zostawię jednego z nich w przedniej śluzie, gdzie będziecie mogli go widzieć. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś prześlizgnął się koło nas i wrócił do statku. Reszta z nas poleci do zbiornika szalupą. Jeśli wejście jest tam, gdzie powiedziała, mamy ich zapuszkowanych. Jeśli wszystko będzie wyglądać dobrze, wejdziemy do środka.

— To będzie was tylko czterech — zauważył nosowy głos. — Nie, trzech… jednego zostawi pan przy szalupie, prawda?

— Tak, oczywiście. Hej, dziewczynko – ilu ludzi jest z Flauval?

— Ma pan na myśli naszych? — spytała Peer.

— A jakich innych? — warknął nosowy głos.

— Tylko nie przestrasz jej tak bardzo, żeby nie mogła mówić! — zganił niski głos. — Zgadza się, dziewczynko – ilu z was?

— No cóż, jestem ja — pociągnęła nosem Peer — i mój staruszek i mój starszy brat Dobby. I jeszcze jest Wilf – to wszystko. Ale ja nie lubię Wilfa!

— Ja też nie lubię Wilfa! — zgodził się nosowy głos. — Czterech na trzech, szefie! Bezpieczniej byłoby najpierw sprowadzić tych dwóch z *Ra-Dwanaście* – i tak nie ma sensu go przeszukiwać, skoro wiemy, gdzie są zapiski!

— Nie — odparł niski głos. — Mogłoby się tak wydarzyć, że Flauval zdecydowałaby się wyjść akurat w ciągu tych paru minut, kiedy nas nie będzie. Wszystko jest zbyt starannie dograne, tak jak teraz jest. Będziemy mieli ciężkie działka z szlupy i damy im szansę na poddanie się. Flauval jest też za bardzo inteligentna, by tego nie dostrzec – ona nigdy nie traci nadziei! Jest szansa, że nie będzie żadnej strzelaniny, aż do tej na końcu.

— Wszyscy jej przyjaciele mogą się okazać twardymi ludźmi — ostrzegł go nosowy głos.

— Bardzo twardymi — rzucił sarkastycznie jego szef. — Tak jak ten dzieciak tutaj! Martwisz się o niewłaściwe rzeczy, mój chłopcze. To po prostu grupka kosmicznych szczurów, która się przypadkowo napatoczyła. — Znowu zaklął. — Ta kobieta ma niewiarygodne szczęście! No dobrze, uważaj na siebie, Ezeff. Ja ruszam. Miej oczy szeroko otwarte! Tak na wszelki wypadek…

VII

Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległ się odgłos chrupiących po kamieniach kroków, zmierzających w kierunku nory ghuli i Channok sprężył się w sobie. Ale kroki zatrzymały się kilka metrów dalej.

— To ten, na którym siedziałem — zaofiarowała się Peer. — Ładny, łatwy do wspinaczki!

— Taaa, nigdy nie widziałem ładniej wyglądającej skały — powiedział kwaśno nosowy głos, Ezeff. — My też musimy się na to wspinać! Nie mam zamiaru próbować punktowego lądowania na silniczkach. Wchodź więc tam na górę, zanim cię… !

Słychać było odgłosy szurania.

— Nie ruszajmy się teraz! — powiedziała nagle Peer.

— O czym mówisz? — zapytał nosowy głos.

— Cholerny obluzowany kamień — mruknęła Peer. — Prawie że spadłam.

W międzyczasie Channok zrozumiał o co jej chodzi i uspokoił się. To nie był jeszcze właściwy moment ...

Rozległy się kolejne odgłosy szurania i parę zasapanych przekleństw Ezeffa, który najwyraźniej nie spędził paru lat dorastania na skakaniu po asteroidach. W końcu jednak wszystko ucichło.

— No to jesteśmy! — Głos Peer doleciał wyraźnie z góry. Mały kawałek skały spadł tuż przed wejściem do nory, jak znak interpunkcyjny.

— Siedź spokojnie, do diabła! — powiedział nosowy głos, ciężko zdyszany.

W tym momencie duży, ciemny cień przemknął cicho po ziemi przed norą ghula. To musiała być szalupa lecąca w kierunku Kopca. Długa cisza w górze potwierdziła to wrażenie.

— Chcą zrobić Flauval niespodziankę? — spytała wreszcie Peer, potulnie.

Nieco zaskakująco, nosowy głos się roześmiał.

— Na pewno! — zgodził się. — A to dobre! Tak jest, na pewno!

— Flauval jest miła, nie sądzi pan? — kontynuowała rozmowę Peer, nabierając odwagi.

— To zależy w dużej mierze od tego, jak na to spojrzeć — stwierdził z rozmarzeniem nosowy głos. — W każdym razie ta Flauval to naprawdę śliczne stworzenie! Miała też diabelne szczęście! Ale kiedyś musi się ono skończyć.

Nastąpił kolejny okres ciszy. Potem Peer zauważyła:

— O jejku, fajnie sprowadził tę szalupę na dół! Dobry szybki skok na czubek… tego, co powiedział ten wielki facet. Na Kopiec.

— Mamy dobrego pilota — zgodził się nosowy głos. — Zrobimy Flauval niespodziankę już za chwilkę!

— A teraz wychodzą z szalupy — kontynuowała Peer. — Raz, dwa, trzy, cztery. Wszyscy czterej. Maszerują prosto do Kopca!

— Masz bystre oczy — przyznał nosowy głos. — Ale to zabawne! — kontynuował nieco zmartwiony. — Jeden z nich miał zostać przy działkach.

— A teraz patrzmy na szalupę! — zawołała Peer wysokim, jasnym głosem. — Wciąga ją prosto do środka Kopca!

Nosowy głos wydawał głośne, zduszone dźwięki.

— Co to było? — krzyknął po chwili. — Co się stało? Co tam jest?

— Puść moje ramię! — zawołała Peer. — Nie ciągnij mnie za rękę – spychasz mnie! *No to, dalej*!

Niewielka lawina zwietrzałych odłamków skalnych przelatywała właśnie na dół przed wejściem do jamy, gdy Channok wyskoczył przez nią na otwartą przestrzeń. Popatrzył do góry. Tworząc coś, co wyglądało jak nierozerwalne kłębowisko rąk i nóg, Peer i Ezeff z hurgotem ześlizgiwali się razem po stromym zboczu skały. Nosowy głos usiłował wczepić się w skałę, ale Peer wisiała na nim i szarpała się jak ryba na haczyku, ilekroć zdołał się czegoś na chwilę pochwycić.

Popatrzyła w dół i zobaczyła Channoka, zaparła się butami o plecy Ezeffa, odepchnęła się od niego i wylądowała na czworakach dwa jardy od męża. Channok rzucił się płasko brzuchem na głaz, podczas gdy nosowy głos ześliznął się resztę drogi już bez żadnej bez pomocy, mądrze powstrzymując się przed uruchomieniem swoich silniczków odrzutowych.

W miejscu, w którym się znajdował, tylko przyspieszyłyby to tempo jego spadku do śmiertelnej prędkości.

Wylądował mniej więcej na nogach. Peer podskakiwała przed nim w górę iw dół, wskazując palcem, jak mała wariatka.

— Niespodzianka! — krzyczała. — Niespodzianka! Taka jaką miała Flauval! Wtedy, kiedy zamknęliście ją w kabinie i uciekliście szalupą, więc musiała wyskoczyć w kosmos!

— Zgadza się, mała — wydyszał cicho nosowy głos, szukając broni, nie odrywając od niej oczu. W tej chwili sam wyglądał trochę jak wariat o twarzy bladej jak śmierć. — Nie bój się, mała! Nie uciekaj! Nie będę strzelać.

Nagle wyciągnął broń.

Ale Channok do tego czasu zrobił już dwa delikatne kroki naprzód i wystarczyło, że się zamachnął. Trzymany w prawej dłoni rozrywacz posłużył mu jako maczuga. Opuścił jego rękojeść, końcem do dołu, na górną część czapki pilota, ciasno opinającej głowę nosowego głosu, Ezeffa, jakby próbował wbić gwóźdź w powierzchnię skały Starego Bezimiennego.

— **C**o się tam stało, na Kopcu? — spytał głosem, który wciąż miał ochotę drżeć. W pośpiechu wkładał kombinezon pilota, nosowego głosu.

— Tu są jego gogle — powiedziała Peer, również nieco drżącym głosem. — Opowiem ci dziś wieczorem o Kopcu. Ale Santis miał rację!

— Na to wygląda, z tego co słyszałem — przyznał Channok. Założył gogle. — Czy teraz wyglądam jak ten Ezeff?

— Nie za bardzo — odparła z powątpiewaniem Peer. — Wciąż masz ten swój wielki nochal i szczękę. Lepiej trzymaj mnie blisko przy twarzy! Odegram dobrą komedię.

— W porządku. Jak tylko wsadzę cię do śluzy, przeskocz obok strażnika i zacznij wrzeszczeć, czy coś podobnego. Jeśli się za tobą obejrzy, może nie będziemy musieli go zabijać. — Wyciągnął ręce. — No, wskakuj! Lepiej zaczynajmy, zanim ta ostatnia dwójka z *Ra-Dwanaście* nie zdecyduje się tu przylecieć.

Peer wskoczyła mu na ręce. Channok ostrożnie objął ją prawym ramieniem. Przez chwilę patrzyli na siebie w zamyśleniu.

— Jesteś gotowa? — spytał.

— Jasne — odparła załogantka Peer. Uśmiechnęła się słabo.

Uruchomił silniczki lewą ręką i wystrzelili w górę. Peer wzięła głęboki oddech.

— Przestań mną rządzić przez cały czas, wielkoludzie jeden! — krzyknęła nagle. Sięgnęła mu do nosa i mocno go szarpnęła.

— W porządku — mruknął zaskoczony Channok. — Nie musisz zachowywać się aż tak realistycznie! On nawet nas jeszcze nie widzi!

— Tylko dlatego, że jesteś większy ode mnie! — wrzasnęła Peer, gdy wzlecieli nad szczyty skał, by zobaczyć śluzę *Asteroidy*. Walnęła sprytnym hakiem z prawej, w lewe ucho Channoka.

— Skończ z tym natychmiast, Peer! — rozkazał bezskutecznie.

Zanim dotarli do śluzy *Asteroidy*, przez cały czas był lekko obijany ze wszystkich stron, chociaż to przedstawienie doprowadziło ich bezpiecznie do środka.

Potem jednak – czy to przez ten jego nos, czy szczękę – w chwili, gdy postawił Peer na nogach, strażnik przestał się śmiać i wyciągnął broń szybciej, niż Channok kiedykolwiek widział aby zrobił to jakiś człowiek. Na szczęście trzymał rozrywacz przez cały czas gotowy w ręku; więc z bezpiecznym zapasem ułamka sekundy, strzelił jako pierwszy…

Rozbłysk wyładowania wydawał się jakieś pięćdziesiąt razy jaśniejszy niż zwykle.

— Padnij na podłogę, Channy! — usłyszał krzyk Peer.

Rzucił się na nią bez namysłu, lądując na nogach martwego strażnika...

Uderzył w niego potężny grzmot, przemknął z rykiem i zniknął w oddali, odbijając się od odległych gór. Podłoga *Asteroidy* uniosła się ciężko, opadła, lekko zadrżała i znów ustabilizowała się.

— Trzęsienie ziemi — mruknął Channok, siadając oszołomiony, — tylko tego jeszcze teraz nam było potrzeba!

— To nie było żadne trzęsienie! — powiedziała Peer, stając nad nim blada. — Wstań i popatrz tylko!

Długie potoki materii skalnej, przypuszczalnie solidny kawałek góry, spływały w dół po dalekiej, strzelistej ścianie skalnej, u stóp której zagrzebali *Ra-Dwanaście*. Na ich spotkanie wznosiła się powoli szara chmura jakiejś super-eksplozji, której źródło ukryte było za horyzontem równiny.

— Zdaje się — powiedział powoli — jeden z tej dwójki musiał być ciekawy sejfu w ścianie Koyle'a!

— Na szczęście, zachowaliśmy pod tym względem zdrowy rozsądek — skinęła głową Peer.

— Chociaż raz! — zgodził się Channok.

Rozglądał się za czymś, na czym mógłby spokojnie usiąść, kiedy ponownie zauważył martwego strażnika. Poderwał się gwałtownie.

— Prawie o nim zapomniałem! Chyba teraz będę musiał go pochować, i tego Ezeffa, przede wszystkim. Może ten tutaj ma przy sobie coś, co nam powie, kim oni byli.

Znalazł to coś niemal natychmiast – i był zadowolony, że Peer wciąż obserwuje grubą, wijącą się chmurę na równinie. Znajdowało się to w płaskim, stalowym futerale, który wyjął z kieszeni zmarłego: dysk identyfikacyjny funkcjonariusza Imperial Secret Service…

Służba!

I oni by nas zamordowali, pomyślał zszokowany. Mieli zamiar to zrobić!

Przewrócił strażnika na plecy. Wielki, muskularny młodzieniec, z wyrazem zdecydowania i pewności siebie, wciąż widocznym na jego twarzy. To była ta sama twarz, co na dysku.

Channok włożył dysk z powrotem do futerału i schował go do kieszeni zmarłego. Wstał, czując się bardzo chory. Peer odwróciła się od włazu i przez chwilę przyglądała się mu w zamyśleniu.

— Wiesz, Channy — stwierdziła ostrożnie — jeśli nic na to nie można poradzić, to się nie liczy.

Popatrzył na nią.

— Chyba nie — powiedział… i nagle, przez chwilę, w myślach przemknął mu obraz czterech mężczyzn wchodzących jeden po drugim do wnętrza Kopca. — Oczywiście, że to się nie liczy! — oznajmił jej stanowczo.

VIII

Ciężko pracowali, aby przenieść ładunek do skrytki, ale zanim skończyli, Bezimienne Słońce zaczęło już się chować za góry. A do czasu, gdy Channok korzystając z traktora wypełnił tunel kamieniami i scementował je w szklistą zatyczkę za pomocą wiertła energetycznego, a następnie narzucił na wszystko maskującą osłonę z głazów, po dniu pozostała tylko mglista, czerwona poświata nad grzbietami gór, na wpół przesłoniętymi przez utrzymujące się w górze resztki po eksplozji *Ra-Dwanaście*.

Nie było widać księżyca, ale po drugiej stronie równiny niebo wypełniło się mnóstwem dużych i małych gwiazd; było więc wystarczająco dużo światła, aby można było dostrzec w oddali ciemny garb Kopca. Za każdym razem, gdy Channok popatrzył w tym kierunku, niskie, złowrogie wzgórze zdawało się być coraz bliżej; spoglądał na nie tak często, jak tylko pozwalała mu na to praca. Santis mógł mieć rację, twierdząc że Kopiec nie jest niebezpieczny, jeśli się do niego zbytnio nie zbliżać, ale gdyby pojawił się choćby cień podejrzenia, że coś tam zaczyna się dziać, Channok miał zamiar wyskoczyć z traktora, złapać Peer i zabierać się ze Starego Bezimiennego z największą możliwą szybkością, jaką on i *Asteroida* byli w stanie rozwinąć.

Jednakże Kopiec pozostawał spokojny. Skończywszy pracę, ostatnim kursem zawiózł Peer traktorem do *Asteroidy*, wjechał nim po rampie do ładowni i zamknął tylni właz. Potem stwierdzili, że zostawili wśród skał swoje pojemniki na lunch.

Gdyby był sam, Channok chętnie by je tam zostawił. Ale Peer wyglądała na tak stanowczą co do ich odzyskania, że odpiął reflektor traktora i ruszył z nią po nie na piechotę. Leżały tylko kilkaset metrów od statku i bez trudu je znaleźli. Wydawało mu się, że Kopiec znów się przesunął bliżej, ale nie aż tak bardzo. Tym razem poświęcił mu tylko przelotne spojrzenie.

— A gdzie są twoi przyjaciele, ghule? — spytał, świecąc reflektorem po skałach, gdy ruszyli z powrotem. Przerażające stworzenia zaliczyły południu tylko kilka ostrożnych pojawień, ale ich nerwy najwyraźniej

ucierpiały jeszcze bardziej niż jego, z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło.

— Ghule zawsze chowają się w swoich norach o zachodzie słońca — wyjaśniła Peer. — One nie są takie jak te z opowieści.

— Co one tu właściwie jedzą? — zapytał Channok.

— Niektóre rodzaje skał. Nie mają prawdziwych zębów, ale ich usta zbudowane są w środku jak młynek. Santis mówił, że większa część reszty ich wnętrzności, też. Miałam jednego oswojonego, w którego rzucałam kamieniami, a on je rozkruszał. Ale wszystkie, które nie były niebieskie, wypluwał. Niebieskie wpadły prosto do jego żołądka – słychać było, jak chrzęszczą przez mniej więcej stopę.

— Co za dieta! — skomentował Channok. Potem nagle przerwał. — Powiedz, Peer! Skoro one potrafią tak gryźć, mogłyby przegryźć się przez naszą skrytkę z ładunkiem Santisa!

— Nie zrobią tego — odparła Peer. — Spokojnie.

— A skąd wiesz? — spytał Channok, idąc za nią.

— Nie są w stanie przegryźć dobrej jakości stali stopowej. I zresztą nie cierpią jej smaku. Santis tak powiedział.

No tak, Santis to, Santis tamto, i tak już od dłuższego czasu! Ojciec Peer zdawał się mieć wyrobione zdanie na temat niemal wszystkiego. I niby dlaczego myślał, że wie, co taki ghul lubi sobie gryźć?

Być może nie należało Channoka aż tak bardzo winić za te myśli. Był cholernie zmęczony, brudny i głodny jak wilk. Tego dnia, po raz pierwszy w życiu zabił człowieka, a nawet dwóch ludzi, i to nie w uczciwej walce, ale przebiegłym skrytobójczym sposobem, od tyłu i podstępem; a potem ich pochował. Widział, jak jego lśniąca bez skazy ISS okazuje się w akcji, czymś bardzo zmatowiałym i paskudnym, a uratowany przez niego, warty fortunę statek, wylatuje w powietrze w chmurze kłębiącego się szarego dymu…

Dochodziło do tego wiele innych rzeczy – bliskie trafienia, które w większości wydawały się zbyt bliskie.

W każdym razie, Channok stwierdził w jednoznaczny sposób, że nie chce słyszeć już ani słowa więcej, co powiedział Santis. Nigdy!

— Nie masz racji — poinformowała go Peer, marszcząc brwi. — Santis to bardzo mądry człowiek. Mógłby cię wiele nauczyć!

— Niby czemu myślisz, że chcę się czegokolwiek nauczyć od zwykłego kosmicznego szczura? — spytał zirytowany Channok.

Peer urwała w pół słowa.

— To co powiedziałeś, to była bardzo paskudna rzecz! — powiedziała niskim, wściekłym głosem. — Więcej z tobą nie będę rozmawiać.

Odsunęła się, aż powstało między nimi jakieś sześć stóp odległości, i ruszyła energicznie w kierunku *Asteroidy*, patrząc prosto przed siebie.

Channok musiał się pośpieszyć, żeby za nią nadążyć. Popatrzył na nią kilka razy w świetle gwiazd, kącikiem oka. Prawdopodobnie nie powinien

używać tego określenia – pół litra rzeczywiście wyglądało dobrze i zachęcająco!

— Hej, hej — powiedział skrępowany.

Peer nie odezwała się ani słowem. Ruszyła trochę szybciej. Channok ponownie wydłużył krok.

— Kto jest moją milutką małą przyjaciółeczką? — spytał błagalnie.

— Zamknij się — warknęła Peer.

Weszła na pokład *Asteroidy* przed nim i zniknęła, podczas gdy on zamykał włazy. W pomieszczeniu sterówki było ciemno, ale czuł, że Peer jest gdzieś w pobliżu. Włączył zasilanie i przyrządy. Na pulpicie sterowniczym pojawiły się w szybkiej sekwencji znajome mgliste cienie zielono-różowych błysków, podobnych do nawiedzonych ogników. Może nie był to jakiś wyjątkowo piękny widok, ale Channok poczuł się dzięki niemu jak w domu. Jak przy płonącym ogniu w kominku.

— No cóż, zobaczmy, jak tym razem poradzisz sobie ze startem! — energicznie zaprosił cienie wokół siebie. Teraz nie było w pobliżu żadnych gór, o które trzeba by się było martwić.

— Ty się nim zajmiesz — powiedziała Peer zza jego ramienia. — Teraz moja kolej żeby trochę się pośmiać.

I zrobiła to, kilka minut później – głośno i długo! Po pierwszym szoku związanym z minięciem Kopca o włos, Channok w przekonujący sposób zaczął odgrywać zdenerwowanego pilota i z oburzeniem obwiniał o wszystko *Asteroidę*…

Wyprowadził ich na wpół z Bezimiennego Układu, kiedy w ciemności zakradła się od tyłu za fotel pilota, owinęła ramiona wokół jego szyi i czule ugryzła go w ucho.

— Przestań — zakrztusił się Channok.

— Ciągle to samo — stwierdziła Peer, rozluźniając odrobinę uścisk — nie jesteś taki bystry, jak Santis!

— Nie jestem, tak?

— Nie — powiedział Peer. — Ale Santis mówił, że zajmie ci to trochę czasu. „Ten Channok wyrośnie na prawdziwego człowieka kosmosu!" — powiedział. — „Tylko daj mu szansę, żeby wszystko złapał."

— No cóż — mruknął Channok, czując się pochlebiony, — miejmy nadzieję, że miał rację.

— A zresztą — powiedziała Peer, — i tak cię kocham.

— Przynajmniej, to też jest coś! — przyznał Channok. Zaczął czuć się znacznie lepiej.

— I zgadnij, co tu mam — powiedziała czule Peer.

— Co?

— Śliczna, namydlona szmatka. Za to co powiedziałeś, kiedy zobaczyłeś pierwszego ghula. Teraz więc dalej, otwieraj tę swoją wielką japę, Channy!

Nie potrafił dokładnie stwierdzić w ciemności; ale smakowało to, jakby zadała sobie trud domieszania do mydlanej piany czegoś wyjątkowo paskudnego.

— A kiedy przestaniesz już puszczać bańki mydlane — powiedziała załogantka Peer, która wcześniej włączyła wszystkie światła, żeby dobrze widzieć skutek swojego działania — opowiem ci, co widziałam na Kopcu.

Channok wzdrygnął się.

— Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, Peer — zasugerował ciągle puszczając bańki — to poczekajmy z tym, aż znajdziemy się rok lub dwa lata świetlne stąd!

KONIEC